

Pamiętam, jakby to było wczoraj (choć absolutnie wczoraj wydarzyć się to nie mogło). To już trzeci tydzień, odkąd siedziałem zamknięty sam w domu. Nie pamiętam dokładnie, co się ze mną działo w tym czasie, ale chyba byłem chory (na szczęście teraz czuję się już całkiem neutralnie). Pamiętam jednak, że zadzwoniła ciotka Alicja. Nie lubiłem ciotki Alicji. Wyglądała jak modliszka. Do tego na urodziny zawsze kupuje mi tą samą bluzę w tym samym rozmiarze od dziesięciu lat.

- Jonaszku, kochanie, przykro mi to mówić, ale twój ojciec zmarł – powiedziała tym swoim chitynowym (z gatunku cukier, słodki ani trochę...) głosem.

Zamrugałem. Papo zmarł? Jak to możliwe? Przecież jeszcze nie tak dawno temu był całkiem żywy...

- Aha. – odparłem bezbarwnym głosem.

Ciotka jeszcze coś tam mówiła, ale niespecjalnie słuchałem przez wspomniane już pokłady chityny, z których składał się jej głos. Nagromadziły się w moich przewodach słuchowych, co uniemożliwiało konwersację. Albo po prostu mnie niespecjalnie obchodziła. Nieistotne.

Opowiedziała mi też o testamencie spisanym przez papę. Nie czytałem go osobiście. Bardzo zmartwiła się, że sam będę musiał wziąć na siebie ciężar ogromnej fortuny papy, którą mi zostawił. Z testamentu wynikało również, że fortunę ową dostanę wyłącznie, jeśli spełnię ostatnią wolę papy. Papo miał bowiem skrywaną pasję - kochał chodzić po górach. Niemal co weekend wyjeżdżał w góry ze swoją sekretarką, która podzielała jego pasję. Papo był bardzo dobrym człowiekiem. Załatwił tej pani pracę pomijając fakt, że nie posiadała ona absolutnie żadnego doświadczenia w jakiegokolwiek pracy... Moja matka wręcz przeciwnie – gór nie cierpiała. Było tam zimno, niebezpiecznie, no i były też niedźwiedzie, rysie i inne zwierzątka z pazurami i zębami. Tak twierdziła. Może właśnie przez tę nienawiść do gór rozwiedli się, gdy powiedziałem matce o tych wyjazdach papy z panią sekretarką...? Do dziś nie znam odpowiedzi.

Tak więc papo w testamencie zażyczył sobie, bym udał się na Mount Everest i zawiesił na szczycie góry jego włosy. Stwierdziłem, nie analizując głębiej, że dokładnie to zamierzam zrobić. Wyczytałem gdzieś, że Mount Everest leży przy granicy Nepalu i Tybetu, które z kolei graniczą z Indiami. Słyszałem jeszcze w podstawówce, że odkryto drogę morską

do Indii, zatem chyba da się tam jakoś dotrzeć.

Już następnego dnia byłem w posiadaniu pęku ognistorudych włosów ojca. Nie uznałem za konieczne opisać dokładnej metody czy sposobu w jaki wszedłem w ich posiadanie, powiem za to, że cel uświęca środki i chyba sarkofag przytrzasnął mi palce, przez co moje paznokcie przybrały kolor czarny. Teraz goci przybijają mi żółtika na ulicy. Już rozumiem czemu są tacy smutni zawsze. Skoro są cali na czarno, to musieli niezliczoną ilość razy zostać przez taki sarkofag przytrzaśnięci, by zmienić kolor jak moje paznokcie, i muszą takie przytrzaśnięcia powtarzać by być czarni cały czas. Ból zmienia ludzi...

Z włosami przytroczonymi do paska, udałem się do miejskiego portu, skąd zamierzam dopłynąć do Kalkuty a następnie do Katmandu - stolicy Nepału, słynącej z aż siedmiu zabytków wpisanych na Listę UNESCO. Znajdują się również wzdłuż rzeki Bagmati rozległe dzielnice biedy – świętej rzeki zarówno dla buddystów jak i hindusów. Trochę czytałem na ten temat. Warto mieć wiedzę choćby elementarną na temat miejsca, do którego się jedzie, choćby po to by nie urazić mieszkających tam ludzi i ich kultury, lub wręcz przeciwnie – by zaimponować swoją wiedzą i zdobyć szacunek. Przeglądając tak Internet, szukając czegoś zdaje się o wspomnianej rzece, trafiłem na zdjęcie, takie z katalogu meblarskiego. Ładny, biały pokój, duże łóżko, biurko, lampa ażurowa, modernistyczna kulista rzeźba, a na ścianie wisiało zdjęcie slumsów z Katmandu – zniszczony dom z blach i płócien i ludzie przy nim, zajmujący się sobą. Zdjęcie miało podpis „Niezidentyfikowane ludzie biedni na wymiar”. Ja jestem bardzo wyrozumiałym człowiekiem, jak sędzę. Nie rozumiem co prawda większości zjawisk i procesów zachodzących w naszym uniwersum, ale w porównaniu ze skalą świata wyrozumiały jestem nad wyraz. Jednak, jak widać, nie wszystko idzie zrozumieć, a homo nie zawsze łączy się z sapiens.

Niestety, szybko okazało się że moje miasto portu nie posiada (co lekko mnie zdziwiło, myślałem że każde miasto choć jeden port ma), ale jest za to spore jezioro. Też powinno się nadać. W końcu to również zbiornik wodny i również pływają po nim statki, z tą różnicą że trochę mniejsze. Kilka przejść dla pieszych i leśnych ścieżek później, dotarłem nad brzeg małego jeziora. Plaża miała około dwudziestu metrów długości wzdłuż tafli wody, po obu stronach otoczona szuwarami. Drzewa rosnące na brzegu były mocno przechylone nad taflą. Na jednym z nich dostrzegłem gniazdo szpaków. Gdy przyjrzałem się dokładniej, zobaczyłem, że to wcale nie gniazdo szpaków lecz stary, pusty worek na śmieci. Jego zawartość unosiła się przy drzewie na wodzie.

Woda była mulista i miała kolor jak i konsystencję gipsu z mrożonym po raz wtóry szpinakiem (skład pewnie był podobny). W wodzie unosiło się parę puszek po energetykach i

plastikowych butelek, które na skutek ewolucji wyparły z tego ekosystemu kaczki. Teraz to one są władcami wód. Na brzegu stała również tabliczka, na której widniała grafika małej łódki i ludzika w niej, trzymającego kij. Wszystko to było ujęte w koło i przekreślone. Spojrzałem w stronę jeziora, wyteżyłem wzrok i zobaczyłem na jego środku obrazek identyczny do tego, co na ilustracji informacyjnej – mężczyzna w łódce z małym żagielkiem, z wędką w dłoni. Czytanie instrukcji nierzadko bywa przydatne.

Nie zastanawiałem się długo. Podwinąłem rękawy kurtki. Mocno złapałem kraniec kłody leżącej na brzegu i zacząłem pchać ją w stronę wody, dopóki nie zaczęła unosić się na jej powierzchni. Potem sam za nią wszedłem. Poczułem chłód, ale bardziej paraliżował mnie strach przed morskimi stworami, takimi jak przykładowo ławice baterii (które to ewolucyjnie wyparły meduzy). Może będę miał szczęście i baterie będą całkiem zużyte...

Machałem rytmicznie nogami by płynąć, mimo że woda sięgała mi maksymalnie do kolan. Kłoda zaczęła płynąć prosto w kierunku łódki. Po kilku minutach znalazłem się u celu. Przyjrzałem się uważnie mężczyźnie na/w łódce. Był niski, krępej budowy, na twarzy miał długą na pół łokcia siwiejącą brodę w wieku poprodukcyjnym, a na sobie żółty płaszcz przeciwdeszczowy i czapkę kapitańską. W ustach miał niezapalone cygaro, a w rękach ścisnął kij, który bardziej wyglądał na wędkę (jednak instrukcje bywają też mylące...). Obok niego stało wiadro z przynętą na baterie – magnesami.

- Co pan robi? – spytałem, unosząc głowę znad kłody.

- A co, nie widać? – odburknął mężczyzna. – Ryby łowię.

- A złowił pan już co?

- Nic a nic.

- Aha – odparłem. – A po co pan je łowi?

- Żeby je zjeść.

- A nie może pan iść do sklepu? Tam też są ryby.

Mężczyzna parsknął śmiechem.

- Więcej satysfakcji daje mi gdy sam złowię rybę. Kiedyś ludzie sami musieli sobie upolować jedzenie.

- Ale wędkę to ma pan ze sklepu. Czemu pan nie robi jej sam?

- Dobra, dobra, nie wymądrzaj się tak, dzieciaku. – Wędkarz spojrzał na mnie ze stężoną miną, przekreślił cygaro w ustach. – Jak cię zwą?

- Jonasz jestem.

- Jonasz, mówisz... - oblizał usta. – Ja jestem kapitanem. A to moja łajba.

- Dobrze się składa, że ma pan łajbę. Potrzebuję jej.

- A na co ci moja łajba, młokosie? – kapitan uniósł brew.

- Muszę dopłynąć na Mount Everest i zawiesić tam włosy mojego zmarłego papy.

Kapitan spojrzał na mnie jakby właśnie usłyszał coś całkowicie absurdalnego.

- Niestety, Jonaszu, nie mogę cię tam zawieźć.

- Dlaczego?

- Żaden rozumny kapitan nie wpuści na łajbę nikogo o imieniu Jonasz. To przynosi pecha.

Jonasza pożarła wielka ryba. W Biblii jest tak napisane. A Biblia to rzecz święta.

- W Biblii jest też napisane, że wszystkie zwierzęta i rośliny zostały nam oddane we władanie.

Dlatego teraz to jezioro wygląda jak kładź z hurtowni chemikaliów a pan nie może nic złowić.

Kapitan obruszył się.

- Jak śmiesz tak bluźnić?! Biblia to...

- Ma pan rację.

- Co...? – kapitan wydawał się teraz już całkowicie zagubiony.

- Ma pan rację. Nie będę się sprzeczał. Czy teraz zawiezie mnie pan na Mont Everest, bym mógł zawiesić tam włosy mojego papy? Mogę usiąść na tej kłodzie, którą przywiążemy do pana łajby. Dzięki temu nie będę w praktyce na pokładzie.

Kapitan podrapał się po brodzie.

- No...w sumie co mi szkodzi. Za 2000 złotych zawiozę cię nawet do Indii.

- Właściwie to jest przy Indiach.

- 2500.

- To dużo?

- Standardowa cena za podróż żaglówką do Indii.

- Stoi.

Kapitan miał dziwne przeczucie, że mógłby od tego chłopaka wytargować większą cenę – co więcej, gdyby poprosił chociażby o 500 000 złotych, to i wtedy Jonasz by się zgodził, ale stwierdził, że woli z nim nie rozmawiać niż pobudzać jego filozoficzny umysł do stawiania kolejnych rewolucyjnych teorii.

- Potrzebujemy liny by związać kłodę z łodzią. Masz jakąś? – spytałem.

- Nie mam żadnej.

Zamyśliłem się chwilę. Wtedy przypomniało mi się, że nadal przy pasku wiszą mi włosy papy.

- Może to się nada? – pokazałem mu jeden włos.

- Może być. Daj mi to.

Kapitan wziął włos i sprawnie węzłem kluczką związał moją kłodę ze swoją łajbą.

Usadowiłem się wygodnie na mojej kłodzie.

- Jak tam dopłyniemy, kapitanie?

Kapitan wyciągnął ze swojej nogawki zwiniętą w rulon zaalaminowaną mapę. Rozwinął ją. Wyglądała jak zwyczajna biała kartka, tylko w jednym punkcie miała strzałkę skierowaną do góry, a potem prostą kreskę.

- To droga do Indii. Musimy popłynąć w górę, żeby dostać się do warstwy chmur, skąd popłyniemy już prosto w stronę Indii. Chmury są z wody. I jest tam też trochę smogu. Ale to prawie jak taka rzeka. Musimy jedynie poczekać aż spadnie deszcz, żeby popłynąć po nim do góry.

Przytaknąłem. To miało sens. Czekaliśmy jakiś czas – nie wiem dokładnie ile, bo skupiłem się na liczeniu upływających sekund – i w końcu spadł deszcz. Kapitan obrócił łajbę i popłynęliśmy pod górę niczym po wodospadzie.

W chmurach było zimno i mokro, zewsząd rozpościerał się błękit nieba i biel chmur tworzących piętrzące się struktury nad nami. Zupełnie jak na morzu czy jeziorze. Chyba się nam udało.

- Ile tak będziemy płynąć, kapitanie? – spytałem, wychylając się do przodu na kłodzie, zanurzając rękę w chmury, po których dryfowała kłoda.

- To będzie jakieś siedem tysięcy kilometrów na południowy wschód. Nie wiem ile to minut. Skinałem głowę. Lubię ciszę. I spokój. Mógłbym na zawsze zostać w tych chmurach. A potem rozpadła się burza.

Dotychczas spokojne i poukładane obłoki chmur zaczęły się burzyć, ciemnieć, tworzyć coraz bardziej ostre i chaotyczne kształty. Niebo przybrało odcień granatu, a miejscami całkowitej czerni. Rozpadła się ogromna ulewa, błyskawice co jakiś czas przecinały niebo oślepiającym blaskiem. Grzmoty dudniły mi w uszach. Łódź zaczęła niepokojąco się chwiać i chybotać, kurczowo trzymałem się pnia, na którym siedziałem ale wiedziałem, że zbyt długo się nie utrzymam, ślizgały mi się ręce, włosy kleiły mi się do twarzy tak, że zupełnie niczego nie widziałem. Już wiem, dlaczego wszyscy mówili mi że robienie sobie grzywki to był błąd.

Wiedziałem, że nie mogę się puścić. Stąd do ziemi jest jakieś pięć kilometrów. Jednak uczucie strachu było przytłumione przez czystą fascynację tym widowiskiem światła i struktur. Nigdy w życiu czegoś takiego nie widziałem.

Kapitan desperacko próbował utrzymać żagiel prosto, zapierając się nogami o deski pokładu. Niestety siła żywiołu przeważała. Lina od żagla wyrwała mu się z rąk, kapitan poleciał do przodu, a łódź została wciągnięta w sam środek wiru.

- Ahhh! Do kroćset! – zaklął kapitan, próbując przekrzyczeć wiatr i siekający deszcz.

Łódź zaczęła krążyć w kółko, moja kłoda znalazła się po zewnętrznej stronie. Trzymałem się z całej siły wystającej z pnia gałęzi. Czułem jednak jak zaczyna ona stopniowo pękać. Wybacz, papo. Chyba nie uda mi się dotrzeć na Mount Everest i zawiesić tam twoich włosów.

Wir zaczął stopniowo zmieniać kolor, z czarnoszarego na biały. Wtedy przyszło mi na myśl pewne skojarzenie. Z papą.

Papo był z zawodu spełnionym pracownikiem podmiejskiej fabryki papieru toaletowego z czterdziestoletnim stażem. Piastował stanowisko kierownika działu produkcji. Pamiętam, że często zabierał mnie tam ze sobą. Była tam taka maszyna, ogromna, nawijająca na gigantyczną rolkę biały papier szykowany do cięcia. Mogłem przyglądać się jej godzinami. Siedziałem pod biurkiem naprzeciwko maszyny i tak patrzyłem jak kręciła się i kręciła i tak całe godziny, dni, tygodnie... Gdy w szkole mieliśmy narysować nasz wymarzony zawód, oddałem pani pustą kartkę. Powiedziałem jej, że to papier toaletowy. Zawsze kochałem rysować papier toaletowy.

Myślę, że miałem do tego talent. Ale talent jest też ogromnym ograniczeniem, bo tak się w nim zatraciłem, że nie potrafiłem narysować nic innego. No, czasem rysowałem też papę z tą panią sekretarką z którą jeździł w góry. Wtedy rysowałem ciemną kartkę z trzema białymi trójkątami, tyle widziałem spod biurka pod którym się chowałem. Często stali tam razem. Nie widziałem, co robili ale wydawali się bardzo zajęci. Może rozmawiali o górach.

Nie rozumiałem, dlaczego wszyscy widzieli problem w tym co rysowałem. Potem – to było już po rozwodzie rodziców - mama zabrała mnie do jakiejś pani w dziwnych, fioletowych okularach, która pytała jak się czuję. Dała mi taką zieloną piłeczkę w siateczce, zawsze jak ją ściszałem to piłeczka przeciskała się przez otworki siateczki, a potem wracała na swoje miejsce. Lubiłem to uczucie przeciskania piłki przez siatkę. Co jakiś czas, w przypadkowych sytuacjach, przypominam sobie o niej.

Po tej wizycie u pani z okularami i piłeczką, tata przestał zabierać mnie do pracy. Czasem, gdy byłem sam, wyobrażałem sobie jak podchodzę do tej maszyny, a ona owija mnie papierem, kręci się i kręci i tak mijają godziny, dni, miesiące, lata...

Ten wir przypomina mi właśnie tamtą maszynę do papieru toaletowego. A może właśnie tym jest ten wir...? Chciałbym tutaj odejść. Właśnie w ten sposób. Puściłem gałąź.

Otworzyłem oczy. Nade mną rozpościerał się błękit nieba. Nie było na nim ani jednej chmurki. Plecy trochę mnie bolały, ale nad bólem przeważało uczucie spragnienia. W ustach miałem istną pustynię.

Usiadłem. Pokład łódki lekko się chybował. Byliśmy na wodzie. Prawdziwej. Nie w chmurach. Dostrzegłem jeszcze jeden szczegół – żagiel był rozdarty, więc najpewniej dryfowaliśmy w kółko, gdzie akurat zawiał wiatr. Przy wiosłach siedział kapitan. Nie wiosłował. Patrzył się prosto na horyzont.

- Na co pan tak patrzy? – spytałem.

Kapitan odwrócił głowę w moją stronę.

- Myślałem. – odparł zmęczonym głosem.

- Aha. – odparłem. – A po co?

- Widzisz, nie wiem czy zdajesz sobie z tego sprawę, ale większość ludzi posiada zdolność myślenia. – powiedział całkowicie poważnie kapitan.

- Też czasem myślę.

- No widzisz.

- Płyniemy dalej?

- Nie możemy. Żagiel się przedziurawił – kapitan wskazał na rozdarte płótno. – Bez niego nic nie wskóramy.

- Możemy go zszyć.

- A masz nici i igłę? – spytał sceptycznie.

Zamyśliłem się chwilę. Wtedy przypomniało mi się że nadal przy pasku wiszą mi włosy ojca.

- To się nada? – podałem mu jeden włos.

- Yhm... No, ewentualnie może się nadać. – stwierdził sceptycznie. – Ale policzę ci ekstra za ten zniszczony żagiel.

- Ile?

- 3000.

- Razem?

- Ekstra.

Zszyłem żagiel, używając do tego kilku włosów. Jakies piętnaście stopni przesunięcia słońca na niebie później byliśmy w drodze.

Nie wiem ile czasu dokładnie zajęła nam podróż, skupiłem się na liczeniu zachodów słońca. W końcu ukazał nam się ląd. Z Zatoki Bengalskiej wpłynęliśmy w rzekę Ganges, następnie w jej odnogę – Kosi, a stamtąd niestety musieliśmy przesiąść się na transport ładowy, ponieważ skończyła nam się woda. Na szczęście jakiś miły pan w granatowym

mundurze zgodził się podwieźć nas razem z łodzią. Co prawda początkowo mówił coś o nielegalnym przekroczeniu granicy i policji (mówił do nas po angielsku, trochę go znam), ale kapitan chyba się z nim dogadał, dał mu trochę pieniędzy i ten pan nas puścił. Kapitan powiedział że wiszę mu kolejny dodatkowy tysiąc.

Nim się obejrzałem, byliśmy już w Katmandu. Pierwsze wrażenie było oszałamiające. Uliczki były wąskie, wysokie, otoczone wszelkiego rodzaju sklepami i kramikami – większość oferowała ubrania, szale, czasem dywany, widziałem też parę sklepików z przyprawami i słoikami z ostrymi przetworami. Między ścianami budynków rozwieszone były kolorowe girlandy. Kolory stoisk mieszały się z szarymi i obdrapanymi budynkami których najlepsze czasy minęły bardzo dawno temu. Po piaszczystych ale czystych ulicach cały czas jeździły tu motory oraz tuk-tuki, przepychające się między ludźmi, trąbiąc głośno, tworząc swego rodzaju symfonię dźwięków.

Słońce było dokładnie na środku nieba, nie dając żadnego cienia w którym można by się ukryć. Dotarliśmy na plac bliżej centrum. Był pusty, otoczony budynkami. Rozstawione były na nim w równych rzędach niziutkie stoiska przy których pod parasolami siedzieli sprzedawcy. Były na nich wszelakie maski, misternie wykonane posążki Buddy, kolorowe naszyjniki, wisiorki, miedziane misy, figurki słoni, zdobione instrumenty muzyczne... To było miejsce niczym z innego świata. Nie wiedziałem na czym skupić oczy, a gdy odrywałem wzrok przez ułamek sekundy czułem smutek, a potem szybko znajdowałem nowy obiekt obserwacji...

Wszystko było niczym sen. Miałem wrażenie, że ludzie są tylko cieniami, przemykającymi między kolorami światła, a ja jestem jednym z nich.

Kapitan za to wydawał się kompletnie nie zauważać tych kolorów, szedł sztywno, patrzył w ziemię, w głowie niemal widziałem jak oblicza co zrobić by ta wyprawa bardziej mu się opłacała. Zupełnie go nie rozumiałem.

Przy jednym ze stoisk z szalami spotkałem moją mamę. Trzymała w rękach szal ze wzorami typu fraktal. W środku był szarobiały z ciemniejszymi akcentami, ten fragment otoczony był jasnym, świecącym niemal granatowym kołem które później przechodziło w czarne, ostre linie.

- Cześć, mamó. Co tu robisz? – spytałem.

- Oglądam szale. Co myślisz? Pasuje mi? – przymierzając szal, zwróciła się do mnie miękkim głosem - tym samym który zapamiętałem z czasów gdy jeszcze rodzice byli razem, zanim mama zostawiła ojca.

- Idę na Mount Everest. Papo chciał żebyśmy zawiesił tam jego włosy.

- Może pójdziemy razem? Co ty na to, kochanie? – spytała, uśmiechając się delikatnie.

Pokiwałem głową.

- To by było miłe.

Później, ja, kapitan i mama wsiedliśmy na pokład małego samolotu, lecącego do portu Lukla, skąd zaczyna się szlak na Mount Everest, najpierw do Base Camp. Po nim są jeszcze cztery inne obozy na różnych wysokościach, a później już tylko szczyt. *Muszę się pospieszyć. Zostało mi niewiele czasu.*

Wysiedliśmy z samolotu. Reszta trasy minęła mi niczym we mgle. Początkowo mijaliśmy drobne zabudowania miasteczka Lukla – sklepiki ze sprzętem wspinaczkowym, restauracje, hotele, widziałem też jeden bank. Było tu ładniej niż w Katmandu, ale o wiele mniej kolorowo. Całkowicie cicho. Brakowało tu tej hipnotycznej energii.

Było tu wielu ludzi z ogromnymi plecakami na plecach – a bardziej pudłami i torbami obwiązanymi dookoła sznurem, idących w stronę szlaku górskiego. Za nimi szły jaki, równie objuczone tobołami co ich właściciele. Był stąd przepiękny widok na okryte mgłą góry.

Pamiętam stromy, wyłożony kamieniami szlak wśród płwozielonych drzew, prowadzący do chwiejnego mostu nad absurdalnie głęboką przepaścią. Mijaliśmy drobne pola ze szczypiorkiem i sałatą. Mijaliśmy ogromne kamienie, wymalowane na czarno i białą, zapisane modlitwami. W buddyzmie wszelkie tego typu obiekty powinno obchodzić się z lewej strony. Dlaczego więc ścieżka jest również i z prawej?

Widziałem małe kapliczki z kręcącymi się młynkami modlitewnymi. Nie rozumiałem napisów na nich, a jednocześnie jakbym znał ich treść. Kręciły się, w kółko, godziny, dni, tygodnie, miesiące, lata, wieczność...

Do wspinaczki użyliśmy liny, lecz gdy się skończyła, użyłem włosów, które nadal miałem przytwierdzone do paska. Na pewno choć kilka zostanie, by zawiesić je na górze.

Później było więcej cichych, ładnych miasteczek, więcej mostów, więcej pól, więcej kamieni, trawy, gór, jaków, ludzi z plecakami, więcej młynków, miasteczka zmieniały się w szlaki, pola i trawy w kamienie, ludzie w cienie, cisza w szum... W pewnym momencie zauważyłem, że kapitan nie zostawia żadnych śladów w śniegu. A może nigdy ich nie zostawiał...?

A później wszystko pogrążyło się w oślepiającej, nieprzeniknionej bieli.

Więc to tak wygląda szczyt świata. Biel. Nicość. Samotność. Nie zostały mi już żadne włosy papy.

Nie udało mi się.

W pewnym momencie zacząłem myśleć. Analizować. Rozumieć.

Moja matka zmarła trzy lata temu. Po rozwodzie z ojcem próbowała wyjechać z kraju.

Wpadła pod pociąg.

Ciotka Alicja zmarła sześć lat temu.

Zmarła we śnie. Jakimś cudem prezenty od niej do dziś do mnie przychodzą...

Mój ojciec...żyje.

On nie ma rudych włosów. Nikt w mojej rodzinie ich nie miał, poza mną. Co więc za włosy miałem przy pasku? Czyje były te włosy, które wyciągnąłem z sarkofagu...? Czyje było to ciało, które tam ujrzałem...?

- Pora ruszać, Jonaszu. – powiedział kapitan, niemym głosem. Jego oczy wyglądały jak mroczne odbicie tafli wody na rzece.

- Dokąd? – spytałem.

- Twoja podróż się skończyła. Musimy już iść.

- Nie chcę iść. Chciałbym tu zostać...

- Wiemy, kochanie. – odparła matka, uśmiechając się blado. – Ale nie będziesz sam.

Będziemy tam razem, dobrze? Ty i ja. Tak jak kiedyś.

Stałem dłuższą chwilę, zagłębiając się w oślepiającym widoku.

Ja...pamiętam, że wziąłem tabletki na sen. Dużo. W końcu sen jest zdrowy. Zdrowszy niż jawa.

- Dobrze... - odparłem po chwili, po raz pierwszy, od nie pamiętam kiedy, słysząc jakiegokolwiek emocje w swoim głosie. Zmęczenie.

Matka ujęła mnie za rękę, wsiedliśmy do łodzi kapitana, on rozłożył żagiel i wziął do ręki drążek, którym odpychał łódź od dna. Po chwili pochłonęła nas biel.

Już chyba rozumiem.

Wszyscy są martwi. A ja, mimo, że żyłem jako ostatni, tak naprawdę byłem pierwszym z nich.